

Tomasz Sobieraj

## TAŃCZĄCY Z ZIEMIĄ

Rzecz o *Podróżach z tej i nie z tej ziemi* Józefa Barana  
i kilka okołoliterackich dygresji.

W swojej autobiograficznej książce *Rude Assignment* Wyndham Lewis dzieli sztukę na tę dla wielkiej publiczności, narodową (Hugo, Dickens, Tolstoj) i na sztukę dla wąskiego grona koneserów (Flaubert, Baudelaire). Zauważa też wzrastającą obojętność tak zwanej szerokiej publiczności dla dokonań twórców sztuki uważanej za elitarną, którzy to twórcy – czy to z przekory, czy ze zwykłego braku umiejętności – wydają się brnąć coraz bardziej w niezrozumiałość. Dzisiaj, sześćdziesiąt lat po ukazaniu się znakomitej intelektualnej biografii angielskiego pisarza, eseisty i malarza można mieć pewność, że nieprzystępność tak zwanej sztuki elitarniej jest w przytłaczającej większości przypadków wynikiem braku umiejętności a często nawet możliwości jej autorów, zaś to, co Lewis nazwał sztuką dla wielkiej publiczności, w zasadzie nie powstaje, bo niewielu współczesnych ludzi pióra potrafi połączyć w dziele wyborny styl, czystą formę<sup>1)</sup>, wagę słów, istotny problem i zajmującą treść tak, jak czynili to – ograniczę się do polskiej literatury – na przykład Słowacki i Prus, a z bardziej współczesnych Herbert i Herling Grudziński. Oczywiście klasyfikacja Lewisa nie jest idealna – istnieli przecież tacy pisarze jak Hemingway czy Conrad, którzy z twórczością elitarną dotarli do szerokiej rzeszy czytelników, i tacy jak Hašek czy Čapek, piszący książki z pozoru popularne, a w istocie stanowiące arcyważne dzieła literatury, poddające ironicznej wiwisekcji jednostkę i społeczeństwo. Z kolei w Polsce pojawiło się ostatnimi laty zjawisko interesujące z powodu swojego endemicznego czy raczej swojskiego charakteru, mianowicie literatura nieporadna, nazywana przez krytyków wielką i elitarną a jednocześnie – popularna; przypadek ten dowodzi niezwykłej siły zarówno gorliwego marketingu jak i mętnej argumentacji, wspieranych przez system państwowych stypendiów dla wybranych i wiernych beneficjentów; niewątpliwie są to zabiegi wystarczające, by przekonać tych czytelników, którzy kierują się stadnym instynktem, jednak ludziom myślącym od razu nasuwa się podejrzenie, że w tym przypadku zamiana alternatywy wyłączającej: „wielkość albo popularność” w koniunkcję: „wielkość i popularność”, jest zabiegiem naiwnym lub hochsztaplerskim, więc albo wskazana wielkość jest fałszywa, albo głoszona popularność podejrzana i wątpliwa.

Zdarzają się jednak współcześni autorzy bezspornie dowodzący, że niekiedy logika formalna ustępuje przed artystyczną rzeczywistością, i że można połączyć cechy zwykle się wykluczające. Rozmiar tego zjawiska mierzony liczbą sprzedanych egzemplarzy jest rzecz jasna mniejszy niż w przypadku autorów uważanych za popularnych – czyli należących do koterii, i popularnych w ścisłym słowa tego znaczeniu – tzn. piszących kryminały, fantastykę i romanse, niemniej to właśnie ono zasługuje na baczną uwagę i analizę, bo jak uczy nas literaturoznawstwo, właśnie ci oryginalni, suwerenni twórcy, funkcjonujący poza obecnie modną konwencją, wraz z tymi, którzy tworzą drugi, ba, nawet trzeci obieg, ci zajmą – z dużym prawdopodobieństwem, prędzej czy później – ważne miejsce w dziejach literatury, obecnie okupowane (jakież to adekwatne i cudownie wieloznaczne słowo!) przez literackich modnisiów i prowincjonalnych dandysów.

Jednym z takich niezależnych, osobnych twórców, jednocześnie popularnych i wyrafinowanych, który w naszej współczesnej literaturze zajmuje, jak pisał Zbigniew Chojnowski, „niszę jedyną w swoim rodzaju, bardzo osobistą” jest Józef Baran. Zdobył uznanie zarówno pośród wybrednych znawców poezji, jak i między naznaczonymi wrażliwością, smakiem i wyobraźnią „zwykłymi” odbiorcami liryki. Jego utwory – sugestywne, czułe, emocjonalne, zabarwione świeżą metaforą, łączą według Czesława Miłosza „tradycyjne polskie wartości z nowoczesną formą”, jednocześnie

nie stronią od lekkiej, ciepłej ironii i mądrej refleksji; to wielowymiarowe wiersze bystrego obserwatora, stanowiące wyraz jego zachwytu nad światem, banałem, nawet marną istotą, ale też niekiedy pełne bólu i uniesienia, zwątpienia i wiary; według jednych są kontynuacją poetyki Twardowskiego, Harasymowicza a nawet Leśmiana, według innych brzmią głosem skrajnie osobistym<sup>2</sup>. Zapewne rację mają jedni i drudzy, bowiem prawdziwy, poważny człowiek pióra, choćby największym był indywidualistą, raczej nie żyje w próżni i dziwnym by było, gdyby w twórczości Barana nie dało się słyszeć dyskretnie brzmiących nut poetów najwyżej przez niego cenionych – i zapewne nie powinien też dziwić ten whitmanowski i frostowski ton, wyraźnie dla mnie obecny w „amerykańskich” wierszach poety, ton, który siłą rzeczy musi pojawić się u człowieka obdarzonego ogromną wrażliwością na przyrodę w sytuacji bliskiego, niemal intymnego z nią obcowania; to swoiste doświadczanie przez poetę komunii z naturą znajduje wyraz także w wierszach zainspirowanych polskim krajobrazem i wsią – utworach autonomicznych i świeżych, często przekształcających przestrzeń realną w pejzaż wewnętrzny, równocześnie przywołujących smaki, zapachy, nastroje z mocą, jaką w naszej literaturze prezentował kierunek impresjonistyczny Młodej Polski, a później arkadyjska twórczość Józefa Czechowicza.

Jednak Józef Baran to także prozaik, autor kilku książek<sup>3</sup> poświęconych „ludziom pióra i palety”, w tym wspomnień o Arturze Sandauerze i rozmów z tym równie świetnym jak kontrowersyjnym krytykiem i tłumaczem. W ostatnich latach ukazały się balansujące na granicy różnych gatunków literackich *Koncert dla nosorożca*, *Przystanek Marzenie* a jesienią 2010 roku *Podróże z tej i nie z tej ziemi*. Dwie pierwsze książki zdobyły należne im uznanie, pisali o nich profesor Bolesław Faron i Ryszard Kapuściński, podkreślając ich intelektualną samodzielność, szczerość i rzetelność, Anna Dymna zaś – wybitna interpretatorka poezji Barana – doceniła umiejętność poety zamieniania bolesnych przeżyć w czystą poezję i jego wspaniały zmysł obserwatora. Nie mniej istotne wydaje mi się w tych na poły dziennikach, na poły reportażach, umiejętne połączenie opisu mniej lub bardziej egzotycznej rzeczywistości z rzeczywistością swojską, liryki z anegdotą, humoru z refleksją, a wszystko to zaznacza dziennikarski pazur – jakże by zresztą inaczej, skoro pracy dziennikarskiej Józef Baran poświęcił znaczną część życia.

I to dziennikarskie doświadczenie, którego przejawami są między innymi umiejętność obserwacji i wyciągania wniosków oraz lekkość pióra, uwidacznia się w *Podróżach z tej i nie z tej ziemi* z dużą wyrazistością. Jeśli dodać do tego skłonność Barana do zabawy formą i właściwy poetom dar pozazmysłowego postrzegania rzeczywistości, otrzymamy właśnie tę „formę bardziej pojemną”, której poszukiwał (i, o ile wiem, nie znalazł) Czesław Miłosz. Każdy z rozdziałów tej książki to reportaż z innej części świata, części niekiedy nam bliskiej, niekiedy egzotycznej, bez wyjątku jednak opisanej interesująco, ze swadą, niemal gawędziarsko, ale zarazem rzetelnie i z Człowiekiem na pierwszym planie – istotą u Barana jednocześnie wzniosłą i tragiczną, piękną i szpetną, niczym w genialnych fotoreportażach Sebastiao Salgado, zawsze jednak, niezależnie od jej kondycji, stanowiącą dla autora *Podróży* centrum zainteresowań i źródło refleksji. Każdy z reportaży przedstawia wycinek świata gruntownie poznany: dotknięty, posmakowany, objęty, opisany z wrażliwością poety i ciekawością badacza sięgającego głęboko pod powierzchnię rzeczywistości; to nie popularny ostatnio naskórkowy reportaż telewizyjnego globtrotera, upudrowanej gwiazdy półgodzinnego one-man/woman show, której produktem ubocznym z zagranicznego wyjazdu jest pełna naiwnych zachwyty i spostrzeżeń książka, okraszona banalnymi zdjęciami imitującymi artystyczne czy reporterskie fotografie – to bezpretensjonalny, solidny, rzetelny obraz wybranych przez Barana miejsc na Ziemi – ale Ziemi przytulonej przez niego w tańcu, dlatego pomimo całej swojej solenności to równoległe obraz nie pozbawiony wdzięku subiektywności i intymności. W pierwszym rozdziale *Podróży* Józef Baran zabiera nas na dawne polskie kresy, leżące w dzisiejszej zachodniej Ukrainie; zagłębia się w złożoną i ciekawą historię oraz skomplikowaną, często bardzo trudną teraźniejszość tych ziem; opowiada o życiu zwykłych ludzi i o ludziach niezwykłych, jak np. Borys Woźnicki, Ukrainiec, dyrektor lwowskiego muzeum, który ocalał od zniszczenia setki znajdujących się na Kresach zabytkowych pomników

magrobnych, obrazów i innych dzieł sztuki polskiej, ukraińskiej a nawet włoskiej. W części drugiej trafiamy z autorem na Cypr, miejsce narodzin Afrodyty i wyspę o burzliwych dziejach, gdzie ściągały się kultury: fenicka i grecka, perska i rzymska, arabska i normańska, angielska i turecka, tworząc konglomerat jedyny w swoim rodzaju. I ponownie Baran z dziennikarskim zacięciem zanurza się w historię i współczesne problemy podzielonej na część grecką i turecką wyspy, często przytaczając fakty i spostrzeżenia, jakich nie znajdziemy w podręcznikach i przewodnikach. W kolejnym rozdziale, wraz z przyjacielem, poetą Adamem Ziemianinem, bawi w Toskanii, Ziemi Obiecanej wszelkiej maści artystów; autor wychodzi poza konwencję opisu tokańskich przygód i krajobrazów, przybliżając czytelnikowi klimat małych miasteczek, gdzie mieszka się w czternastowiecznych kamieniczkach i obcuje z dziełami największych mistrzów sztuki tak, jak w Polsce z bohomazami graficyarzy i kibiców; niezmiennie też wynajduje interesujące polonica. Rozdział czwarty i szósty to odkrywanie Ameryki, a konkretnie USA, kraju przemierzonego przez Barana parokrotnie, od Nowego Jorku, przez Idaho, Utah, Arizonę po Montanę, Oregon i Kalifornię; docieramy z nim do Yellowstone i Wielkiego Kanionu Kolorado, w Góry Skaliste i do Parku Yosemite, oglądamy metropolie i prowincjonalne miasteczka, wybieramy się na łososie i do rezerwatu Indian, poznajemy zwyczajnych Amerykanów, i amerykańską inteligencję – poetów, pisarzy, nauczycieli i pracowników naukowych, tłumaczy, wydawców (m.in. nieocenionego dla budowania międzykulturowych mostów Stanleya Barkana) – ludzi pełnych pasji, otwartych na innych, radosnych, wolnych, tolerancyjnych, jakże odmiennych od naszych przedstawicieli tychże profesji. Jak przystało na rasowego dziennikarza (rasowego, czyli obiektywnego), Baran naświetla przedstawiane zagadnienia z różnych stron, pokazuje więc także mniej ekscytujący obraz tego kraju: niepewność zatrudnienia, plagę otyłości i depresji, zadłużenie obywateli w bankach, powszechny stres, czyli zjawiska, z których nie bardzo zdajemy sobie sprawę, zapatrzeni w wizerunek kreowany przez seriale telewizyjne i hollywoodzkie kino klasy popularnej. Pozostałe rozdziały książki są podróżą równie ciekawą – to Australia, Singapur, Maroko i Brazylia, miejsca mimo globalizacji nadal egzotyczne, i odległe; Baran eksploruje je z zacięciem globtrotera i wręcz z chłopcą ciekawością, trafiając to w głąbę interioru, to do małych miasteczek lub do wielkich aglomeracji, często odnajdując w czasie tych wypraw polskie akcenty. Ponownie siłą tych reportaży, esejów i dzienników poety jest wynajdywanie i opisywanie bytów (w szerokim znaczeniu tego terminu) mało znanych, tajemniczych, często endemicznych, niekiedy wręcz reliktowych, o których nie informują gazety, popularne programy i kolorowe książki, bytów takich, jakie można poznać jedynie zbaczając z utartych szlaków i zagłębiając się w tajemnicze wnętrza australijskiej pustyni, brazylijskiej selwy czy azjatyckiej metropolii; w Maroku trafiamy nawet na arabskie, muzułmańskie wesele – niepostrzeżenie staje się ono pretekstem zarówno do porównań z weselem polskim, jak i do ogólnokulturowych i historyczno-religijnych rozważań; także i w tych rozdziałach spotykamy poetów, pisarzy, tłumaczy, studentów oraz zwyczajnych ludzi: robotników, farmerów, urzędników, poznajemy fascynującą historię i piękną, ale groźną często przyrodę. W tym nawale egzotycznych miejsc urzeka powrót do Borzęcina, rodzinnej wsi poety, która w jego opowieściach i lirykach staje się ziemią dziewiczą, Rajem – jednak ani nie utraconym, ani nie odzyskanym, ale Rajem Objętym, przytulonym mocno niczym w tańcu prywatnym Edenem.

Wielowymiarowość i szeroko rozumianą niezależność tej książki podkreśla zawarta w niej poezja. Autor umieścił tutaj kilkadziesiąt wierszy, w dużej części niepublikowanych, powstałych w czasie podróży transpozycji aktu poznawania świata na język poetycki. Stanowią one interesujące, liryczne dopełnienie prozatorskiej części *Podróży* i nadają im niezwykle, bardzo osobisty klimat oraz potwierdzają znakomitą umiejętność Barana przełożenia impresji na poetycką frazę czy przekazania ważnej treści w słowach oszczędnych, mądrych i trafnych, bez ornamentów metaforyki, a to w poezji cenię najwyżej. Przykładem niech będzie żartobliwy i przekorny wiersz *Chwila osobliwa z pieskiem preriowym*:

ten piesek preriowy myśli sobie  
że przyleciałem do niego

specjalnie po to  
żeby go nakarmić jabłkiem

chrupie je w skupieniu  
stojąc słupka  
przed swoją norką  
na dwóch łapkach  
a ja pozuję mu do fotografii

(w tle Ameryka  
Góry Skaliste  
Ocean Spokojny  
i takie inne  
nieważne dla pieska  
imponderabilia)

Wielkość poety można poznać nie tylko po jego poezji, ale także po jego prozie, po swobodzie poruszania się pomiędzy rodzajami i gatunkami literackimi. To ryzykowne z pozoru twierdzenie można łatwo udowodnić, podając za przykład pisma Cypriana Kamila Norwida, dziennikarskie wyczyny Walta Whitmana, artykuły i recenzje Józefa Czechowicza, eseje Zbigniewa Herberta, zapiski z podróży Tomasza Venclovy czy inne, niestety nieczęste przykłady szerokich intelektualnych horyzontów i doskonałych umiejętności pisarskich poetów, umiejętności, które w istocie stanowią potwierdzenie ich literackiej klasy, a których brak często dowodzi poważnych ograniczeń, tym samym zaś może wzbudzić nieufność co do twórczości wierszowanej. Bo czy może być dobrym, a tym bardziej wielkim poetą ktoś, kto nie potrafi jasnym, barwnym, logicznym a nade wszystko poprawnym językiem napisać relacji z podróży, dziennika, listów do ukochanej, politycznej polemiki? Czy jest poważnym i wiarygodnym poetą ktoś, kto nie ma przyrodniczych lub historycznych zainteresowań, kogo możliwości pisarskie i intelektualne przerasta filozoficzny dyskurs, esej o Atgecie lub chociażby interesujące opowiadanie, o powieści nie wspominając? Niby można odpowiedzieć „tak”, uzasadniają to nawet nieliczne przykłady (F. Villon, Rimbaud, Wojacek) ale zasadniczo odpowiedzi na te pytania są przeczące (a wymienione wyjątki potwierdzają regułę). No, może Platon by się do końca nie zgodził z moją tezą, znany bowiem jest jego sąd o poetach i ich umysłowych niedoskonałościach oraz wynikających stąd konsekwencjach, ale już Arystoteles i Goethe zgodziliby się ze mną na pewno<sup>4</sup>).

W dzisiejszych czasach ograniczonych specjalizacji (o zgrozo, nawet w humanistyce!; „witkacolog” niewiele powie o tematyce frapującej „orzeshkologa” i odwrotnie, a obaj nie będą zgodni, gdzie postawić przecinek) wydaje się nieco *demode*, że poeta, dziennikarz, prozaik, eseista Józef Baran należy do tej nielicznie reprezentowanej kategorii twórców uniwersalnych, to jest takich, którzy realizując się w różnych rodzajach pracy literackiej dali (i dają) rzecz rzadko spotykaną – świadectwo wszechstronnego talentu i wysokich umiejętności warsztatowych. I nawet jeśli każdy z tych twórców poruszał się w odmiennej estetyce, zajmowały go odmienne sprawy, cechował inny światopogląd i temperament, różniły marzenia i wartości, to wszyscy zachowali intelektualną i artystyczną suwerenność, nie ulegając konwencjom i tworząc w sumie dzieło pełne, jednolite w swej wielości, nie do podważenia w sensie artystycznym i intelektualnym.

Pośród całej masy modnych, ale szybko przelatujących meteorytów literatury, znajdują się spokojne (choć często tylko z pozoru) gwiazdy i planety (przypominam czytelnikom z nową maturą, a szczególnie tym z jej giertychowską odmianą, że pierwsze świecą światłem własnym, drugie odbitym, co nie jest bez znaczenia dla zrozumienia tej metafory). Niektóre można dostrzec gołym okiem, inne za pomocą teleskopu, istnienia wielu z nich dowodzi się wyłącznie metodą obliczeń. Jedną z takich gwiazd na firmamencie polskiej literatury jest Józef Baran. W zależności od

dostępnych czytelnikowi narzędzi intelektualnych, może on być gwiazdą dobrze widoczną na nocnym niebie lub tą dostrzeganą z wysiłkiem, ale może też być niemożliwą do pojęcia matematyczną enigmą. Będą zapewne też i tacy, według których określenie planeta wydaje się bardziej właściwe; to już kwestia względna, niemożliwa do rozstrzygnięcia ani tym bardziej do ścisłego udowodnienia w jałowych humanistycznych dysputach i, w istocie, bez znaczenia, bo twórczość Józefa Barana, obfita i różnorodna, broni się sama, a każda następna jego książka, czy to prozatorska, czy poetycka, jest potwierdzeniem wysokiej klasy i indywidualności artysty.

Józef Baran, *Podróże z tej i nie z tej ziemi*, Zysk i S-ka, Poznań, 2010.

---

<sup>1)</sup> Nie mylić z „Czystą Formą” S.I. Witkiewicza.

<sup>2)</sup> Zagadnienie twórczej suwerenności lub jej braku jest poważne, ciekawe i, niestety, bagatelizowane z podejrzaną wręcz nonszalancją; a przecież to pasjonujące odkrywać, kiedy mamy do czynienia np. z dialogiem, twórczą kontynuacją, polemiką, kiedy z inspiracją, erudycyjnym tropem, celową imitacją, a kiedy z zapożyczeniem lub, co najczęściej spotykane, ze zwykłym epigoństwem. Kwestia ta dotyczy nie tylko literatury – Szanowny Czytelnik zapewne zadał już sobie kiedyś pytanie, czy mielibyśmy *Błękitną rapsodię* Gershwina bez *Koncertu a-moll* Griega (szczególnie bez pierwszego *Allegro*) albo kubizm Picassa bez późnych obrazów Cezanne'a i sztuki afrykańskiej? Przykłady i omówienia takich, eufemistycznie rzecz nazywając, artystycznych stymulacji, mogłyby śmiało posłużyć za temat dla interesującej książki; tylko czy współczesny niby-edukowany i niby-myślący *homo consumatus felix* zniósłby taką dawkę upadających mitologii?

<sup>3)</sup> *Autor! Autor!: Rozmowy z ludźmi pióra i palety* – Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1986; *Śnił mi się Artur Sandauer: rozmowy i wspomnienia*, Kraków, Centrum Kultury Żydowskiej Na Kazimierzu, Hereditas Polono - Judaica, 1992; *Tragarze wyobraźni* – Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, 2006.

<sup>4)</sup> Według Platona źródłem poezji jest Duch, dlatego poeci nie rozumieją, co piszą, sens ich słów jest często nieokreślony, są bełkotliwe niczym delficka przepowiednia; Arystoteles uważał, że źródłem poezji powinna być Myśl, za którą idą wiedza i umiejętności; natomiast Goethe pisał: „Platon nie tolerował w swojej szkole żadnego *ἀγρομέτηρον*. Gdyby mnie stać było na założenie szkoły, nie tolerowałbym uczniów, którzy nie zajęliby się poważnie i wytrwale jakąś dziedziną przyrodoznawstwa”. Nic dodać, nic ująć. Wielostronny erudyta Herbert czy afirmator świata Zagajewski, ulubieńczy zarówno Kaliope jak Klio i Euterpe, to też wspaniałe kamienie do tego ogrodu.